

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 12 czerwca 1926 roku.

Nr. 24.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

(Z cyklu „Na Szlakach Świata“).

5) ZA KOŁEM BIEGUNOWEM.

Na pierwszy „Tarin“ trafiliśmy na długo jeszcze przed „powarnią“¹⁾ Kittas. Wiał silny wiatr, ale śnieg przestał padać i z za chmur ukazało się słońce. Pamiętam, jak dziwne fantastyczne wrażenie wywarł na mnie widok zielonawego szklistego pagórka, który nagle zastąpił nam drogę wśród stromych skalistych brzegów. Niesamowicie wprost robił wrażenie w blasku słońca odmuchany zupełnie ze śniegu, poskręcany, jak kupa potwornych rzygówin. Reny poślizgnąwszy się na samym początku, nie chciały się nań wdzierać, padały na kolana, kaleczyły nogi, uderzały o pogarbiony lód, rzucały się, szalały, znacząc śladami krwi każdy swój krok. Niewiele mogliśmy im pomóc, popychając obładowane narty, gdyż miękkie nasze obuwie ślizgało się po zaokrąglonych bokach „naledzi“, nie-gorzej, niż reniferowe poduszkowate racice. Ale bywalec Aleksy wyciągnął z „sumy“ woreczek z popiołem, zabranym na stacji, i usypał nim wąziuchną dróżkę, po której reny i my już łatwo przeciągnęliśmy sanie po przez grzbiet śliskiej, jak szkło, wypukłości.

— To brzydki „tarin“... Ale teraz wiosna i on śpi... Tej zimy w straszliwe mrozy tu jakut przewodnik zginał... Odwiózł pocztę i nie wracał... Reny i sanie przyszły. Długo go szukali, wreszcie znaleźli tutaj na tamtym brzegu... Leżał na rozłożonej pościeli, obok zajęcza kołdra, sam zupełnie goły, tylko czapkę zlodowaciała miał na głowie i poderżnięte nożem gardło... Domyślają się, że wpadł z głową do „Tarinu“, bona dnerczki znaleźli sanie... Wyszedł, pościel i sumy uratował. Jedyny wtedy ratunek rozebrać się co prędzej z przemoczonej odzieży, rzeczy na śniegu rozrzucić, żeby wyschły, a samemu otulić się w kołdrę na pościeli. To właśnie zrobił, ale nie mógł widać rzemieni od czapki rozwiązać, więc chciał je nożem rozciąć... Ręce miał zgrabiałe... Ostrze oślizgnęło się po zlodowaciałej skórze... i chlasnął się po gardle... Szkoda! Tęgi był chłopak, zostawił młodą żonę i dziecko... — opowiadał nam przewodnik już w „powarni“, do której dobrnęliśmy późnym wieczorem.

Bardzo było przyjemnie, kiedy w tym lichym i źle zaopatrzonym budyneczku znaleźliśmy trochę suchego drzewa oraz bryłę rzeczno lodu na wodę

¹⁾ Powarnia — po rosyjsku: kuchnia, miejsce do warzenia stawy — jest to proste z nieociosanych pni zbudowane schronisko bez okien, często bez drzwi, dające jednak przejezdnym pewne zabezpieczenie od zawiei, deszczu i mrozu. Rozrzucone wzdłuż traktu co 40—50 klm. są utrzymywane kosztem przydrożnych ulusów, niektóre budynki mają po sto lat i są w bardzo lichym stanie.

do herbaty. „Prawo tajgi“ wymaga, żeby każdy z przyjezdnych zostawiał zapasy lodu i paliwa dla następnych podróżników, lecz więcej jest ludzi leniwych na świecie, niż sumiennych, więc rzadko znajdowaliśmy te dowody podróżniczej solidarności i nie zawsze zostawialiśmy je sami. Dopiero, kiedy dowiedziałem się o tym zwyczaju, zacząłem go przestrzegać. Nazajutrz droga była jeszcze przykrzejsza wskutek wielkich głazów i skalnych rumowisk, urozmaiconych w wielu miejscach „tarinami“.

Śnieg wprawdzie nie padał, dzień był pogodny, słoneczny, bardzo jasny, jak zawsze na wysokościach, ale wichura wzmogła się i wszyscy mocno przeziębiliśmy w drodze. Raz tylko zatrzymaliśmy się w południe na jagielim mechowisku, żeby reny nakarmić. O zachodzie słońca stanęliśmy w „powarni Bitewnej“ (Elersiubiut). Leżała w kotlinie zamkniętej dokoła górami. Nazwę swą otrzymała z powodu, iż tutaj w XVII stuleciu Tamuci, bitne plemię tamtejszych aborygenów, wciągnęło w zasadzkę i wymordowało mieszaną oddział jakucko-rosyjski, ciągnący na zawojowanie ich kraju. Obecnie tamutów prawie niema, wyginęli w walkach z kozakami, a bardziej jeszcze od ospy, syfilisu i wódki. Zaludniony dawniej pasterzami renów kraj stał się zupełnie pustynią.

— Słyszysz, jak wyrzeka i szumi!... skończył swoje opowiadanie przewodnik jakut przy herbacie... To skarżą się dusze poległych tutaj!...

Istotnie, dzięki szczególnemu rozkładowi gór, głosy zawsze tu wiejącego wiatru nabierają dziwacznych, przejmujących i ostrych tonów, podobnych to do jęków, to do dzikich, wojennych okrzyków.

— Jutro będzie podła droga, same skały i najgorsze „tariny“, a najstraszliwszy z nich „Chaborga“, (gardziel), często nawet do wiosny żyje... Bo on już w szczytach gór w najzimniejszym miejscu... Jak więc będzie, nie wiem!... Niech pan dobrze obuwie opatrzy i do „torbasów“¹⁾ włoży świeżą ściółkę trawy! — ostrzegał mnie Aleksy, podając mi pęczek suchej, żółtej jedwabistej trawy, specjalnego gatunku, używanej na ściółki w tutejszych butach o miękkiej podeszwie.

Wyznaję, iż byłem bardzo zainteresowany „tarinami“ i przy pierwszej sposobności zatrzymałem naszą małą karawanę i poprosiłem Trójwargiego, żeby mi pomógł przebić dziurę w samym szczycie lodowej kipieli. Lecz kozak stanowczo odmówił, a przewodnik nawet ręce do góry uniósł:

— Tauga ram!...²⁾ Co pan robi? Jeszcze go pan obudzi!...

Pomimo ich protestów siekierą i nożem wydlu-

¹⁾ Mokasynów. ²⁾ Mój Boże.

bałem głęboki otwór i przekonałem się, że lód „tarinu“ na całą grubość podziurawiony jest łączącymi się ze sobą kanalikami i pustociami, czyniącymi go podobnym do pszczelnego suszu. Skoro woda raz przeobraziła sobie taką drogę, łatwo już otwierała ją sobie przy lada nacisku, co powodowało perjodyczność wyluchów tych wodnych wulkanów, zależnych od falowania zimna.

Podczas gdy badałem „tarin“, towarzysze moi stali opodal wylękli i zgorzeni.

— Niechby pan zrobił to po tamtej stronie gór... A to tutaj, kiedy „Chabarga“ jeszcze przed nami i przełęcz odgradza nas od świata! — wyrzucił mi Aleksy. Jakut nic nie mówił, ale widocznie był zły i pełen najgorszych przeczuć.

Droga istotnie była uciążliwa, usiana nagimi złomami skał, z których wichry zdmuchnęły zupełnie śnieg, tak, że nasze sanie szorowały często po gołych kamieniach i renifery męczyły się bardzo. Miejscami znowu olbrzymie zasy stwardniałe na marmur przegradzały nam drogę. Posuwaliśmy się bardzo wolno.

— Gdzie są „tariny“?...

— Są, są! Tu pod temi zaspami!... Niech się pan o „nich“ nie pyta?... Ale gorzej, że nigdzie tu niema dobrych jagielisk; były, ale spłonęły w czasie leśnego pożaru, parę lat temu, a odrastają dopiero w trzydziści lat. Reny nakarmić należycie będziemy mogli „dośpieć“ dopiero po tamtej stronie, Taschaniach-tachu!... Widzi pan, jakie „skoły“ — tłumaczył Aleksy, wskazując na prawie prostopadłe wiszary, wznoszące się po obu stronach gwałtownie zwężającego się wąwozu.

— A gdzie „Chaborga“?...

— Cicho! Tu zaraz!... — mruknął tajemniczo, robiąc znaczący ruch ręką przed siebie.

Słońce skryło się za górami, zapadał mrok.

A w wąwozach dęło tak szalenie, iż myślałem, że nas zdmuchnie na dół wraz z renami i nartami. Przewodnik i Aleksy podnieśli na twarze fartuszki futrzane swoich „kuchlanek“²⁾, chroniące policzki od odmrożenia. Ja wciąż nacierałem je dłońmi, gdyż nie miałem ani ciepłej kuchlanki, ani odpowiedniej maski. Przerażliwy wiatr przebijał z łatwością mój wytarty kożuszek i dostawał się do samych wnętrzości. Całe szczęście, że musiałem iść wciąż piechotą, lecz od przejmującego zimna i głodu czułem, że tracę siły, wiatr utrudniał oddech i serce biło boleśnie. Wobec braku paszy dla renów, zatrzymać się jednak nie mogliśmy.

— Jeszcze trochę, „dośpiejem“ będzie dobrze. Przełęcz niedaleko! Byłe tylko tego — przebyć!... — pokrzepiał mię na duchu Aleksy.

— Kogo przebyć?

— A no, Chaborgę!

Weszliśmy w wysokie skaliste wrota, pełne już nocnego mroku i siwej mgły. — Wydało mi się, że wstąpił do lodowca. Wprawdzie wiatr tu szumiął górą i nie dokuczał, ale straszliwe, wilgotne zimno oszroniło nas i zlodowaciło nasze ubrania w mgnieniu oka.

— Żyje, czort!... — mruknął Aleksy.

Jednocześnie pod nogami zachlupnęła mi woda.

— Wleź pan, wleź pan zaraz na sanie!... Stracisz nogi!... — krzyczał na mnie Aleksy. Wskoczyłem na nartę, ale reny zatrzymały się natychmiast. Postać Aleksego słabo majaczyła przedemną w gęstej mgłę, unoszącej się zdołu i tarmoszonej w górze podmuchami wichury. Z tyłu chrobotał i pokrzykiwał

choj! choj! drapiąc się w górę z renami i rzeczami, przewodnik. Wkrótce stanął tuż za mną.

— A co? Woda?...

— Woda, — odrzekłem, szcękając z zimna zębami.

— Niema co, trzeba będzie schody rąbać!... Leje, jak rzeka, reny nie wejdą!... Dawaj siekierę!... — rozporządzał się Aleksy.

— Czy nie lepiej wrócić na dół i przebyć to miejsce za dnia!... radziłem.

— Dokąd na dół?... Do „Bitewnej“, bo bliżej niema jagielników... Do sądneho dnia tak można jeździć!... Czego „ich“ pan ruszał!... Mówiłem!...

Niech pan siedzi, my tu migiem wyrąbiemy schody, a dalej już łatwo!...

Zniknęli we mgłę i słyszałem, jak chlupotali w wodzie i kuli lód żelazem. — Po niejakiem czasie wrócili i poprowadzili reny, hukając na nie groźnie. Była to jakaś szatańska jazda w ciemnościach, we mgłę, w podmuchach lodowatego wichru i bryzgów wody, lecącej z pod kopyt renów, ślizgających się i rzucających rozpaczliwie. Na szczęście, wszedł księżyc i rozwidnił cokolwiek drogę. Ale w srebrnym jego świetle przybrała ona jeszcze bardziej niesamowite, przeraźliwe kształty.

Powoluchnu, z niezmiernym trudem, krok za krokiem, posuwaliśmy się grzbietem śliskiego, zielonawo błyskającego potwora, z którego buchała mroźna para, a nad którym nawisały z obu stron osędziałe brzuchy skał... Pluszcząca i szemrząca wszędzie woda powiększała grozę tego lodowatego piekła... Była chwila, iż zdawało się, że wszyscy znowu stoczymy się na dół, gdyż część renów pokładła się i nie chciała wstawać, a część zawróciła na dół. Moja narta omało się nie wywróciła. Skoczyłem na pomoc przewodnikowi, nie bacząc na to, że grozi mi przemoczenie obuwia. Nie dalibyśmy sobie jednak rady z oszalałymi zwierzętami, gdyby nie przybył nam z pomocą Aleksy, który już przebył „tarin“ i zdążył przywiązać swe reny w poprzek do narty tak, że nie mogły uciec. Przeprowadziliśmy reny osobno, a obciążone narty przeciągnęliśmy własnymi rękami. — Aleksy natychmiast rozpakował pościel, owinał mi mokre nogi zajęczą kołdrą i przywiązał mię do narty, żeby futro się nie odwijalo.

— Trzeba się spieszyć do „powarni“, bo pan na pewno nogi przemoczył... My mamy lepsze od pana obuwie z grubych łap dzikich renów, po których woda spływa!... Ale ktoby się spodziewał?... To rzadkość, żeby w tym miesiącu jeszcze „Chaborga“ wybuchał... Zresztą mały był... W zimie to tu prawdziwe piekło... Ile tu koni ginie z kupieckich taborów, ile się psuje towaru!... nikt nie przeliczył!...

Istotnie, gdy dwa lata później przejeżdżałem w grudniu przez ten „tarin“, poprzednia moja przeprawa wydała mi się fraszką... Ta woda pluszcząca pod nogami koni i ludzi w ciemnościach biegunowej nocy przy 60° zimna, w stęzałem, twardem, namacalnym nieledwie powietrzu; ta mgła osiadająca momentalnie lodową skorupą na twarzy i ubraniu, ślepiąca oczy, zamieniająca futra w sztywne, szeleszczące zwoje śniegu; czarne po bokach wiszary, nad którymi daleko, gdzieś daleko błyszcząły jasno gwiazdy, — sprawiały jakieś dantejskie, przerażające wrażenie, którego nigdy nie zapomnę... Ale wtedy ja już miałem duże polarne doświadczenie i wyborną, zastosowaną do tutejszej zimowej podróży, odzież!

²⁾ Bluza z futra młodych renów, włożona na wierzch.

BEZ SERCA.

24)

Radziłeś mi w twoich pierwszych listach, które mnie tak denerwowały (Późniejsze znacznie krótsze listy denerwują mnie stokroć bardziej) ustawicznie, abym zmieniła mój obecny apartament na nieco wygodniejszy. Nie czynię tego z kilku powodów: 1) Wstydziałabym się sama przed sobą zaznawać tu jakichkolwiek wygod i rozkoszy. Bo wszystkie męki uważam, jako ekspjację za grzech porzucenia Hani, na której wspomnienie łzy mi płyną. Łzy bardzo ciężkie... Wierście mi... Bardzo ciężkie... Bardzo ciężkie... Nie, nie. Dość tego... Precz słabości. E basta. 2) Mogłabym coprawda nawet za dotychczasowe pieniądze znaleźć pokój obszerniejszy w Quartier Latin, na ulicy Des saints pères, lub w okolicach Odeonu. Lecz z mojej ulicy de la Seine wystarcza mi przejść przez Pont d'art, przez Plac du Carousel i minąć Théâtre français i Avenue de l'opéra, aby znaleźć się na Bulwarze Włoskim, skąd mam trzy kroki do maître'a Moussina, zamieszkującego Rue Helder.

Prawda, że przejść tych kilkanaście kroków z Avenues przez szerokość Włoskiego bulwaru to niezbyt łatwe zadanie; choć stojący w pośrodku policeman, jak Mojżesz przy przejściu przez Morze Czerwone — uśmierza swoją batutą szalejące fale i w sekundowych odpływach przeprowadza garstki tłumu, oczekującego grzecznie swojej kolei.

O! Ten specjalny paryski tętent automobilów, prywatnych pojazdów i czerwono kołowych jednokonnych ślicznych powozików dorożkarskich! I te przedpotopowe, ciągnięte ciężko przez trzy perszerony żółte omnibusy, tak charakterystyczne ze swemi imperjalami, uginającymi się pod specjalnie paryskimi typami, które zaciekawiają cały świat. Bo zna je na pamięć każdy Europejczyk, Amerykanin i Azjata z obiegających całą kulę ziemską ilustracji francuskich jednobarwnych i kolorowych. I marzy, aby je ujrzeć kiedyś w oryginale na tych właśnie bulwarach.

Spojrzałam na zegar na pięknym słupie żelaznym, ustawiony na środku Placu opery. Do maître Moussin'a wybrałam się zbyt wcześnie i coś pcha mnie do flanowania przez godzinę po bulwarach.

O! Te „Wielkie bulwary“ Magdaleny, Kapucynów, Włoski, Mont-Martre, Poissonière, Bonne nouvelle i St. Martin, ciągnące się od kościoła Magdaleny aż het do Placu Bastylji, z ustawionymi podwójnymi ławkami, na których sąsiadują plecami na wspólnej krawędzi spektatorowie jezdni ulicy ze spektatorami nabitych tłumem trotuarów.

O! Te bulwary, wiecznie pełne zaciekawionych etranżerów, ciągnących z całego globu ziemskiego do tej Mekki narodów. Niezbyt schludnie zamiecione, pełne spadłych liści, skórek pomarańczy, serpentyn z jakiejś minionej ludowej uroczystości, z poniewierającymi się setkami porzrzuconych okrawków cygar, papierosów i piętrzących się kupami świstków reklamowych!

O! Te bulwary, złocące się poczwórnym szeregiem jeszcze cienistych, jesiennych kasztanów! I te stoliki kawiarniane, ustawione prawie tuż przy sobie szeregiem przez całą niekończącą się długość bulwarów. I ta publiczność specjalnie paryska, lub na modłę jej ufasonowana, zapijająca przez szklane rurki absynt z wodą mrożoną.

O! Ta publiczność paryska bez żdźbła meskinerji i małomieszczkańskiej manjery. Bo Paryż, to jak stary hrabia, który już od tylu lat jest dobrze wychowany, że już sprzykrzyło mu się życzyć zdrowia komuś, kto kichnie, uderzać się kieliszkiem, lub wchodząc do wagonu, kłaniać się na powitanie i przy pożegnaniu.

Nikt tu nie mówi: Mahlzeit. Na zdrowie, całuję rączki, padam do nóg i t. d. A znać na wszystkich starą kulturę, tem trudniejszą dla nowicjuszków do naśladowania, że nie wiadomo, na czem ona właściwie polega, choć coraz bardziej jest się tu pod jej urokiem.

O! Ta publiczność bulwarowa, zmieniająca się kalejdoskopowo wraz z ich odległością, płynąca od Opery ku Placowi Republiki. I te odgłosy fjoraj z płaskimi koszykami cudnych południowych kwiatów, i zgiełk chłopców, wykrzykujących nazwy sprzedawanych dzienników i smakołyków: gorących w piecykach kasztanów i sorbetów w czerwonych blaszanych beczułkach z kranikami. I ten gwar wypływających z zaułków kamelotów, kształtnych, z hebanowemi włosami i z oczami nie mniej ciemnymi od ich duszy apaszów. Przepitemi, ochrypleni głosami, z nerwowym południowym temperamentem i gestami kuszą przechodniów i siedzących przy stolikach do zakupu pornograficznych niecenzuralnych kart i wsuwają do rąk reklamy jakichś niezbyt pewnych nocnych spelunek.

I ten barwny sztafaż kosmopolisu: Charakterystyczni ze swoją dezynwolturą Amerykanie, kraciaści poważni Anglicy i krzykliwi gestykulujący Włosi, przebrani za modnych du dernier cri Europejczyków murzyni, w rogowych okularach minjaturowi, pilni, uważni, dyskretni i zagadkowi Japończycy, wywarkczowani konserwatywni Chińczycy, Turcy w czerwonych fezach, Arabi w turbanach i w białych burnusach! Któż by ich tam zliczył! W głowie szumi, oczy aż bolą. Można oszaleć...

Lecz im dalej od opery—tem widoczniej charakter bulwarów się zmienia. Coraz mniej cylindrów, coraz mniej wieczorowych fraków. Coraz mniej fezów, turbanów, a coraz więcej Paryża i jego zaułków.

I coraz więcej czapek i robociarzy. Przy coraz podrzędniejszych stolikach kawiarnianych—coraz mniej mrożonej wody ze szklanemi rurkami, a coraz więcej absyntu. Coraz mniej dam; moc coraz mniej dyskretnie malowanych dziewczyn, w bluzkach coraz mniej świeżych, już bez kapeluszy.

I coraz więcej charakteru. Obok okrzyków paryskiego blagiera tłoczą się łatwo zapalni tu ludzie: To nowy wymysł gieniuszu i gustu drobnej ręki paryskiego uwriera: Jakiś nowy figiel, nowa dowcipna zabawka, rozśmieszająca wszystkich i zakupywana. Jakiś dowcip polityczny, partyjny. Dernier cri!

Na trotuarach coraz luźniej, coraz swobodniej i coraz weselej. Rozbrzmiewają wyśpiewywane umuzykalnionemi od natury dźwięcznemi głosami tony modnej od niedawna dowcipnej politycznej lub erotycznej piosenki. Jakichś dwu akrobatów z pod ciemnej gwiazdy zrzuca z siebie paltoty i w biednych cerowanych cyrkowych trykotach wykonywuje na rozpostartym na trotuarze wytartym dywaniku zwinne koziołki. I w antraktach żarcikują z wesołym od natury

paryskim tłumem gamenów, klownując ekiwokami paryskiego argotu; a gameni, dumni z tych pogawędek „z artystami”, mają miny klubmanów, którym udało się poznać zakulisowe garderoby.

O! Te bulwary „exterieurs”, z szeregiem stojących dorożek w cieniu platanów, z końmi o łbach, zanurzonych w workach, z których żują owies z zadowolonym spokojem, podczas kiedy czerwoni dorożkarze wychylają szklanki wina na stolikach ustawionych na ulicy...

Gubię się w szczegółach; chciałabym notować plamami wszystko, aby obraz ożył cały w słońcu z wyjątkiem mojej osoby w cieniu, lub zatartej...

O! Paryskie bulwary! Cóż to za nieoceniony haszysz na nostalgję obcych przybyszów do tej jedynej Mekki na świecie, która jest w stanie obeczulić twoją tęsknotę do brzydkiej jamy, w której się urodziłeś. A teraz żyć bez niej nie możesz. Bez tej brzydkiej twojej jamy...

Nie możesz żyć ani z nią, ani bez niej. Bo jest, jak brzydka swarliwa kobieta, do której wracasz, bo pomimo wszystkie jej wady — kochasz ją. Cierpisz i złorzeczysz, a żyć bez niej nie możesz. Fatum tragedji namiętności.

Czar Paryża polega nie na cudach grobu Napoleona, Luwru, Placu Zgody, Luxemburga i katedry Norte-Dame; polega na czemś, co unosi się niewypodziane w powietrzu. Na odwiecznej kulturze, na specjalnym aromacie i na specjalnym kolorze kwiatów; na specjalnym szumie drzew i nurtów Sekwany, i specjalnym dźwięku śmiechów dziecięcych, i cichych westchnień starców. To one usypiają moją tęsknotę za

brzydką i złą Warszawą i koją balsamem bóle obeczulonych moich ran.

Kiedyż cię zobaczę, szara Wisło i ciebie najbrzydsza z ulic wszystkich śródmieść stołecznych w Europie! O! Nowy Świecie, z ohydą parterową lepianką naprzeciwko Ś-to Krzyskiej ulicy! O! Placu Trzech Krzyży, udający Place de la concorde z cuchnącym wiecznie małomiasteczkowym targowiskiem! O! Placu Teatralny z pięcioma drewnianymi budkami, ustawionymi w pośrodku zamiast wodotrysków i pomników. Z budkami tramwajowymi, wentylacyjnymi i po dobnemiż „dla pań i panów”, proszącymi się aby, je ukryto pod ziemią, choć one jaskrawą czerwienią swoich cegiełek i strojnością wieżyczek zdają się chcieć rywalizować z ratuszem. O! Obdrapany parkanie obok pałacu Kronenbergów! O, wstrętny drapaczu nieba obok estetycznego pałacu Szlenk. na placu Zielonym! Kocham was!

Na zakończenie mała drobna refleksja: Oto na bulwarach ani jeden donżuan nie raczył nigdy zwrócić na mnie uwagi. Czyżbym zdążyła już tak szybko zestarzeć się i zbrzydnąć? Czyżbym z tą starą operetkową śpiewaczką miała utyskiwać: „Och! Niema mężczyzn już”. Pocieszam się, że zarówno tu w Paryżu, jak i wszędzie na świecie mężczyźni napastują jedynie kobiety, pragnące być napastowanymi. Sądzę, że niezbyt trudno poznać po mnie, że inne zupełnie myśli bez zastrzeżeń posiadały całe moje jestestwo. Żegnaj. Pędzę do maître Mussina.

(D. c. n.)

Z ruchu wydawniczego.

„FERRAGUS” H. BALZAKA.

Osiemdziesiąty czwarty tom przekładów Boy'a zawiera Balzakowskiego „Ferragusa”. Ogrom pracy zadziwiający! Przynosi on zaszczyt znakomitemu tłumaczowi. Dzięki nieustępliwemu temu trudowi przeciętny czytelnik polski ma możność współżycia z kulturą literacką Francji. „Ferragus” nie należy wprawdzie do najwybitniejszych powieści H. Balzaka, ale zaciekać musi tak koncepcją zbrodniarza, tytułowej postaci, jak i figurami związanymi z losem tej kryminalnej jednostki. Nieuchwytność „Ferragusa”, jego demoniczna potęga zadziwia, zaciekawia, pociąga. I w tej powieści Paryż z przed lat stu pod piórem Balzaka staje się jakąś legendą o cudownych przygodach.

„Ferragus” swojego czasu cieszył się wielką poczytnością. Należy przypuszczać, że i teraz znajdzie on wielu skwapliwych czytelników i rozentuzjasmowanych czytelniczek.

⊗

LEGENDA O GRAJKU BOŻYM...

Z niewyczerpanych źródeł dobroci i miłości, z cichych rozpamiętywań męki Chrystusowej wysnuł Jan Wiktor swoje „Legendy o grajku bożym”. Pisarz ten przepojony jest rodzinnym krajobrazem. W oczach barwią mu się łany, zagajniki, łąki. Małą ptaszynę wybrał na doczesnego towarzysza trudów Chrystusowych. Nie opuszcza nigdy ten grajek boży swego Pana i Stwórcy. Zdradzi go i zaprze się apostoł - ulubieniec. Ptaszyna pozostanie wierna. Ukochał ją też i Pan, Wzbiła się w niebiosa dziękczynna pieśń:

— „Bądź pozdrowiony, bądź pochwalony pieśnią mej miłości. Każdy jej dźwięk jest echem nieprzebranej twej dobroci, której wielbicielem jestem ja, skromny ministrant przed ołtarzem wielkistej miłości”.

„Legendy o grajku bożym” są nowym poematem wyśpiewanym przez duszę wrażliwą, rozkochaną w dobroci i pięknie. Wskazują one, iż twórca „Burka” nie ustaje w pracy nad swoimi artystycznymi możliwościami. Opisy przyrody i w legendach dyszą świeżością kolorytu i soczystością słowa. Wśród prozaików najmłodszej generacji J. Wiktor zajmuje pozycję coraz mocniejszą i w pewnym rodzaju plastyki pisarskiej — indywidualną.

⊗

„MOJE WSPOMNIENIA POLICYJNE”.

Jako przyczynek do czasów okupacji Warszawy przez wojska niemieckie pamiętnik p. Henryka Wardęskiego, zasłużonego działacza na polu bezpieczeństwa publicznego, zasługuje na baczną uwagę. Jest on dokumentem stwierdzającym wiele ciekawych, nieraz tragicznych faktów. Głodzona i demoralizowana Warszawa broniła się z wielką godnością zakusom niemieckim, choć czerwotka i tyfus grasowały wśród proletariatu tak naszego, jak i żydowskiego. Z wspomnień tych dowiadujemy się też, jak stopniowo improvizowano nasze kadry bezpieczeństwa i jak po powstaniu Państwa naszego zorganizowano planowo i rozważnie ten ważny aparat administracji. Niektóre uwagi osobiste autora wypowiedają opinie o różnych kolegach z milicji, policji, żandarmerji. Nadaje to charakter zbyt intymny tym wspomnieniom, nieciekawym dla

szerokiej warstwy czytelników. Natomiast opisy wydarzeń warszawskich z czasów okupacji są dla historyka i dla każdego inteligentnego obywatela bardzo pouczające. Książkę tę ozdobił fotografiami wybitnych jednostek z milicji i policji warszawskiej.

⊗

NOWI POWIEŚCIOPISARZE FRANCUSCY.

Krytyka paryska wyróżniła dwa debiuty beletrystyczne Rogera Martin du Garda i Panait Istrali. Pisarze ci wystąpili z utworami: „Szary zeszyt” i „Kyra Kyralina”. Szczególnie opowieść o „Kyra Kyralina” wzbudziła zaciekawienie, gdyż autor został wprowadzony do beletrystyki francuskiej przez wielkiego Romaiu Rollanda. Trzeba przyznać utworowi temu, iż posiada specjalny wdzięk i świeżość egzotyki oryginalnej. Autor książki tej jest grekiem z pochodzenia. Przypadek zrządził, iż został pisarzem i to francuskim. Możliwy wpływ Rollanda otworzył mu drogę do działalności na polu literatury.

Wszystkie cechy francuskiej kultury literackiej posiada „Szary kajet” Rogera Martina du Garda. Opowiada dzieje pewnej młodzieńczej przyjaźni dwóch gimnazjalistów, ich ucieczkę do Marsylii i pokazuje w tej perspektywie przekrój dwóch rodzin francuskich. Książki te przyswoiła mowie polskiej p. H. Jel. Sądząc z nagłówka, są to dwie pierwsze powieści z całego cyklu utworów najmłodszej beletrystyki francuskiej. Zamiar ten godny jest poparcia.